

G. DE TE'RAMOND.

# W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

11

(Ciąg dalszy).

— Znam tylko jednego — mówił inspektor — kto potrafiłby to uczynić, jest to ten sam człowiek, który na ulicy Hauteville zastrzelił z omnibusu spłoszonego konia.

Wspomnienie to przypominało mu opowiadanie amerykańskiego detektywa o pasażerze ze „Starego Czarnego Psa”.

— On żyje, to prawda... lecz czyż to racja, by przypuszczać, że on jest sprawcą tego zabójstwa?... Zresztą dowiedziałem się już o wszystkich tam obecnych, że są to ludzie powszechnie znani... pewny jestem, że nie było go między nimi...

Tymczasem gdy przenoszono zwłoki kapitana z restauracji, w której znalazł śmierć, do karetki pogotowia lekarskiego, wypadł mu z kieszeni niepostrzeżenie portfel. W kilka chwil potem znalazł go posługacz, który jednak spieszył się do domu i dopiero na drugi dzień odniósł go do najbliższego biura policyi. Tegoż wieczoru dyrektor policyi przeglądał jego zawartość w obecności inspektora Lapipe. Między papierami bez żadnego znaczenia, jeden list zwrócił ich uwagę. Był on pisany fioletowym atramentem na gładkim, przeźroczystym papierze. Zaraz go przeczytali:

„Kapitanie!

Proszę porzucić swój niewykonalny projekt. Osoba, która już raz przysłała z pomocą uczciwej dziewczynie, zdoła ją ochronić przed pańskimi wstrętami machinacjami. Życiem swem zapłaci pan za swe naleganie, które dla niej jest zniewagą”.

Zamiast podpisu była data: 27 lutego 1907 r.

— List ten był pisany w przeddzień tego fatalnego obiadu, prawda, panie Lapipe? I oto mamy wytłomaczenie całej tajemnicy!... Szukaj kobiety; znowu sprawdził się ten odwieczny aksjomat, że we wszystkich sprawach *cherchez la femme!*...

Lapipe nie podzielał tego entuzjazmu, lecz potrząsając głową, odrzekł:

— Tak, Żaneta Levasseur? Pan dyrektor sądzi zatem, że tę biedną hafciarkę proteguje ktoś możny?... Według mnie byłoby to bardzo dziwne... Że zamiar poślubienia pierwszej spotkanej blondynki mógł się zrodzić w głowie pijaka... że los ten padł na Żanetę Levasseur, to możliwe... nie należy jednak iść dalej po tej drodze... nie, tysiąc razy nie...

Tymczasem dyrektor, nie odpowiadając inspektorowi, przeglądał leżący przed nim na biurku plik papierów.

— Oto raport o niej komisarza policyi... hafciarka, pracująca u siebie... dobra opinia w dzielnicy... uchodzi za uczciwą, poważną i pracowitą... zajmuje mały lokal za trzysta franków rocznie... płaci regularnie... nie przyjmuje nikogo... wróciła raz z banknotem pięćsetfrankowym, który dał jej na bulwarze jakiś szlachetny nieznajomy...

Lapipe przy tych słowach aż podskoczył.

— Och! Tego już za wiele!...

Dyrektor nie zrozumiał znaczenia tych słów i uśmiechając się, rzekł:

— Historyja ta rzeczywiście wydaje się nieprawdopodobną!...

— Przepraszam — przerwał inspektor — jest prawdziwą... byłem jej świadkiem...

Podniósł się błąd i drżąc, poruszał nerwowo rękami.

— Co panu się stało? — zapytał zaniepokojony dyrektor.

— To on! — szeptał Lapipe. — To jeszcze on!... Jestem tego pewny...

— Kto on?...

— Pasażer ze „Starego Czarnego Psa”... szlachetny przechodzień... gość z hotelu „Księcia Portugalskiego”... mandaryn... zabójca hr. Fraskopelly... jest to jedna jedyna osoba, której od roku już poszukuję daremnie, a która drwi sobie z policyi, a mnie wyprowadza w pole...

— Panie Lapipe, co to ma znaczyć?... Nic nie rozumiem!

Lecz inspektor jakby nie słyszał tego i mówił dalej:

— To zdanie, „która już raz przysłała na pomoc”, wyjaśnia wszystko... to jest oczywisty dowód... niezwalczony... on jeden tylko strzela tak celnie!... Zabił kapitana, jak zabił szczura hotelo-

wego... jak zabił konia spłoszonego... Człowiek ten nie cofa się przed niczem!...

— Niech pan się uspokoi, panie Lapipe...

Nie zważając na dyrektora i nie słuchając go, wyjął szybko z portfela kawałek papieru, podniesiony z podłogi w pokoju na szóstym piętrze na placu Malesherbes i porównywał go długo z listem do kapitana.

Nagle z błędnymi oczami i konwulsyjnie zaciśniętymi wargami, krzyknął:

— Ten sam papier!... Ten sam atrament... ten sam charakter cyfr... bilet omnibusowy A. K. 756, znaleziony tam przez Newtona, jest niezbitym dowodem tego, co twierdzę. To jeszcze on!... Ciągłe on!... On zabił również bankiera Korpstraussa...

Dyrektor jednak, który od kilku chwil śledził z przestachem gwałtowne ruchy inspektora i zmianę na twarzy i w błędnych oczach, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

Jak tylko ukazał się służący, zawołał:

— Prędko!... Prędko!... Doktora... telefonować... Pan Lapipe dostał ataku...

## XII.

### Przygoda Żanety.

— Jakto, panna Żaneta już wstała?

Na progu swego mieszkania stara stróżka, oparta na miotle, patrzyła zdziwiona, że jej młoda lokatorka wstała tak wcześnie, by iść, jak codziennie, po mleko do sąsiedniej mleczarni.

— Tak, pani Bourju; dlaczego bym miała nie wstać?

— Przecież po wczorajszym rozgardyaszu!...

— Przez noc uspokoiłam się już zupełnie, jak pani widzi...

— Och! Moja złota panienko, nie tak wyglądała pani wczoraj o północy, gdy panią wniesiono omdlałą... bładą jak papier... w powalaniem ubraniu... mnie samą aż zaparło... Co za awantura, ktoby to pomyślał?...

Mówiąc to, stróżka zapraszała Żanetę do siebie:

— Niech pani opowie choć troszkę, jak to się stało, mój złoty aniołku... Nie śmiałam wczoraj pytać, kiedy pani była bez duszy... ale bardzo chciałam... a przytem ten zbawca nie dał mi żadnego szczegółu, tak się spieszył... Na panią więc napadli włóczęgi?...

Żaneta zrozumiała, że nie uwolni się od stróżki, dopóki nie zaspokoi jej ciekawości. Zrezygnowana siadła na krześle, które podsunęła jej skwapliwie staruszka i zaczęła:

— Tak naprawdę było, pani Bourju... Pani wie, że miałam wczoraj wieczorem odnieść haftowaną suknię wicehrabinie Neyste... trzeba było zrobić kilka krawieckich poprawek prędko, bo tej sukni potrzebowała na bal... miałam wrócić wcześniej, ale wicehrabina prosiła, bym zobaczyła, jak ta suknia na niej wygląda i przez to wyszłam od niej dopiero po jedenastej... Wszędzie było pusto... ale nie bałam się... i szłam jak najspokojniej, gdy niedaleko stąd...

— Ulica tak kiepsko oświetlona! — użaliła się stróżka, zażywając sporą dozę tabaki. — Nie potrzeba się skarżyć, ale rząd nie bardzo rozczuła się nad naszą dzielnicą!...

— Trzech włóczęgów wyskoczyło nagle z drożki, w której musieli się ukrywać i rzucili się na mnie...

— Chryste Panie!

— Zawołałam na pomoc... wyrывałam się... chciałam uciekać... ale napróżno... Jeden trzymał mnie za rękę... drugi zawiązywał usta chustką...

— A trzeci?

— Powiedział: Doskonale, lecę po samochód!...

— Boże święty!

— W chwili tej, gdy już bez sił, na pół udużona omdlewałam, jakiś mężczyzna, który usłyszał zapewne mój krzyk, rzucił się na apaszów...

— Dzielnny człowiek! — szepnęła stróżka, która wchłaniała w siebie poprostu słowa młodej dziewczyny — i cóż?

— Wtedy, w krótszym czasie, niż można to pani Bourju opowiedzieć, wszyscy trzej opryszkowie już na ziemi, ale zaraz zerwali się i zaczęli na gwałt uciekać... to wzruszenie tak mnie osłabiło, iż mój zbawca musiał mnie przynieść aż do pani, gdzie dopiero przy pomocy pani przyszedłem do siebie...

— Ale — zapytała staruszka, której uwagi nie uszedł żaden szczegół — skąd ten mężczyzna znał pani adres?

— Widocznie musiałam mu to powiedzieć, nie zwracając na to uwagi... W każdym razie był to ktoś z tej dzielnicy!... Żałuję tylko, że tak prędko odszedł, nie czekając, abym mogła mu podziękować...

— Och! O to niech pani się nie troszczy... Przyj-

dzie dowiedzieć się o pani zdrowie... nie dzisiaj, gdyż pracuję do późna w swym magazynie, jak powiedział... ale jutro z pewnością!...

Żaneta jednak powstała już i zamierzała wyjść.

— Niech pani go poprosi — dodała jeszcze — by zaszedł do mnie, muszę mu podziękować osobiście. Przecież to jemu winnam swe ocalenie.

— Nie zapomnę powiedzieć, panno Żanetko!...

I młoda dziewczyna była już daleko, gdy stara stróżka, zamiatając sieni, jeszcze rozmawiała z sobą w braku innej słuchaczki.

— Piękny mężczyzna, moja droga!... Miał pański wygląd i wielkie niebieskie oczy!... Zupełnie jak w romansie... Ach! Gdybym była młoda, jakbym chciała, by mnie ocalił taki piękny mężczyzna...

Żanetka wróciła już do swego pokoiku z mlekiem, a monolog stróżki ciągnął się nieprzerwanie... Pilnując, by śniadanie, które gotowała sobie na spirytusowej maszynie, nie wykpiowało, młoda hafciarka rozmyślała o wypadkach, które od ośmiu dni naruszają jej zwykły spokój. Po spotkaniu z hrabią Fraskopelly i Ottonem de Schlakemburg na rogu ulicy Enghien, poszła dalej swoją drogą, odniosła robotę i wracała na Menilmontant, nie przypuszczając nawet, że jest śledzona ciągle przez dwóch przyjaciół. Zwolna uspokoiła się z gniewu, że śmiano ją zaczepić na ulicy i nawet bawiła ją ta propozycja nieznajomego, który rzucił jej w oczy swe oświadczenie, jakby się założył z kim, że z niej zdrwi. Na drugi dzień rano wstała wcześniej w dobrym humorze i jak zwykle zaczęła przed pracą czyścić klatkę swego kanarka, prowadząc z nim rozmowę:

— Prawda, Fifi, że serce Żanetki nie jest do sprzedania?... Twoja młoda pani poślubi tylko tego, kogo naprawdę pokocha.

— Świr!... Świr!... — zaświergotał kanarek, trzepocąc skrzydełkami.

Młoda dziewczyna, jakby była pewna, że ptak ją rozumie, mówiła dalej:

— Tak, mój drogi, ten młody jegomość może być nie wiem jakim hrabią... kapitanem nie wiem jakiego pułku... może być ubrany jak żurnal... i być najładniejszym... nawet z pierścionkiem na palcu, ale on nie będzie miał panny Żanetki... panna Żanetka bardzo poważnie zapatruje się na małżeństwo... I cóż ty na to, Fifi?... Świr... świr... to nie jest odpowiedź, mój przyjacielu... ale ja wiem, co ty myślisz!...

Zawiesiła klatkę przy oknie i dokończyła zdania:

— Ty myślisz, że jeszcze długo pozostaniemy w tym małym pokoiku, ale przez to nie będziemy nieszczęśliwi, prawda Fifi?... Zarabiamy na życie i nie potrzebujemy się skarżyć.

Po tej rozmowie zaczęła podlewać kwiatki na oknie, lecz jeszcze nie skończyła tego zajęcia, gdy zapukano do drzwi. Pobiegła otworzyć je i stanęła jak przybita na miejscu, widząc na progu tego samego młodego człowieka, który ją poprzedniego dnia zaczepił na ulicy.

— To pan? — zawołała. — Kto panu pozwolił ścisnąć mnie aż do domu?...

Kapitan Fraskopelly skłonił się z elegancją, która go ani na chwilę nie opuszczała.

— Pozwoli mi pani naprzód przeprosić ją za niezwykle sposób, w jaki wczoraj ośmieliłem się zaczepić.

— Jest to zupełnie zbyteczne!

Kapitan jednak zdołał wejść do środka, zanim zdziwiona Żanetka zdołała temu przeszkodzić i mówił dalej:

— Owszem... tak... Pani zapewne uważała mnie za waryata, lecz przysięgam, że nikt nie myśli poważniej odemnie... Na dowód może służyć to, że jeżeli przybyłem tutaj z samego rana, to tylko dlatego, by ponowić swą prośbę, którą miałem zaszczyt złożyć pani wczoraj.

— Nie znam przyczyn — odrzekła poważnie Żanetka — które upoważniają pana do zwracania się do mnie z podobną propozycją. Nie wiem, kim pan jest. Nie chcę nawet wiedzieć tego. To tylko mogę powiedzieć panu, że daremnie traci pan czas.

— Ale dlaczego — zapytał Fraskopelly — spotyka mnie ta niewytłomaczona odmowa?

A gdy ona milczała, dodał:

— Dlaczego? — nalegał — błagam panią... dlaczego?

Żanetka spojrzała mu prosto w oczy.

— Ponieważ jestem uczciwą i nie na sprzedaż. Teraz — wskazała mu drzwi — proszę pana wyjść stąd. Wchodząc do mnie, kompromituje mnie pan tylko. Nasza rozmowa trwała już dostatecznie długo, by pan zdążył poznać moje myśli o sobie.

— To nie jest jednak ostatnie pani słowo? — zapytał trwożnie kapitan.

— Ostatnie, panie!